

\$ liberalizm straganiarski sekcjarze

Czysto ekonomiczne doktryny prowadzą do kanibalizmu.
E. Jünger

Gdy państwo jest w okresie swej młodości, to kwitnie tam sztuka wojenna; gdy jest w okresie dojrzałości, to kwitnie uczość; później nieco przez jakiś czas i jedno, i drugie; w wieku zaś schyłkowym kwitnie technika i handel.
F. Bacon

Liberalna demokracja to reżim, w którym demokracja poniża wolność zanim ją zdławi.

W epokach arystokratycznych to, co ma wartość, nie ma ceny; w epokach demokratycznych to, co nie ma ceny, nie ma wartości.
N. G. Dávila

Jeśli szukałbyś, czytelniku, modelowego sekcjarza z typową dla tego przypadku osobowością i osobliwie „zarliwym” pomysłuńkiem, to w kręgach zideologizowanych liberałów-wolnorynkowców znajdziesz mnóstwo takich „egzemplarzy” o irracjonalnej, wręcz fideistycznej orientacji. Dogmatyczne traktowanie problematyki ekonomicznej przynosi ten skutek, że nad życiem dominuje teoria; prawdopodobnie jest tak dlatego, że – jak wiemy – jednym ze źródeł liberalizmu, tej mieszczańskiej z ducha ideologii, jest woluntaryzm, czyli – co tu ukrywać – prymat woli nad intelektem. Tu ma także swe źródło podawana nam do wierzenia „ewangelia” i „dogmat nieomylności” liberalnych doktrynerów kierujących się „nowym fideizmem” z materialistycznie pojętym credo, quia absurdum. Niecodziennie – w tym kontekście – zabrzmi zapewne myśl Akwinaty, według którego wiara jest aktem rozumu dokonany pod naciskiem woli, i że podstawy poglądu na świat muszą być rzeczą wiary, nie rozumu. Nie stawiam tu oczywiście najmniejszego nawet znaku równości pomiędzy macierzystymi źródłami tych stanowisk (bo jakże tu porównywać św. Tomasza z Akwinu z pospolitym piewą „ekonomizmu”), ale zwracam uwagę na pewne podobieństwo, by tak rzec, metodologiczne, acz prowadzące do jakże różnych skutków społecznych. Lecz przede wszystkim jakże to podob-

ni są nasi sekcjarze do historycznej (i historycznej) lewicy, której dogmatyczny fanatyzm, przypominający pomysłuńek zacierzonego kibica piłkarskiego, objawiała ona przez całe dziesięciolecie. Młodzi aktywiści liberalizmu tego nie pamiętają; mają więc kłopot ze skalą porównawczą, a co za tym idzie, także z samooceną swej proletariackiej mentalności (sic!) lubującej się w pojęciach „postępu”, „masowości”, „wzrostu” i „prosperity”. Bowiem cóż innego oznaczać miałyby lansowana przez nich perwersja egalitaryzmu i równości wszelkiej użytecznej pracy, ta dezorganizująca wspólnotę ludzką, siejąca moralny defetyzm demoliberalna herezja?

Jak zwykle kieruje tym wszystkim mentalność stadna, jak również moda. Kiedyś masowo pojawiały się kontestujące społeczno-politycznie teatry, później, wzorem The Beatles, taśmowo zakładano zespoły gitarowe, obecnie zaś młodzi ludzie – przesiąknięci do cna ekonomizmem tej merkantylnej epoki – masowo stają się homo oeconomicus: na gwałt studiują ekonomię, zostają doradcami finansowymi i gospodarczymi, marketingowcami, reklamiarzami, menadżerami i najprzeróżniejszymi specjalistami od wciskania ludziom nadwyżek produkcyjnych itd., itd.; zakładają różnorakie organizacje (najlepiej z „instytutem” lub „centrum” w nazwie), wręcz kościoły czy związki wyznaniowe zajmujące się apologią określonego wyznania ekonomicznego, więc jak nie chicagowskim, manchesterskim, to austriackim gadaniem... Naturalnie w zupełnym oderwaniu od życia społecznego (które, co najwyżej, postrzegają jako targowisko i nic więcej). Dwie wyżej wymienione egzemplifikacje młodzieżowej mody miały coś interesującego do powiedzenia (jeśli nie paplały za Marksem, Marcusem, Mao et consortes) choćby w tym sensie, że własnego (np. w muzyce, sztuce), zaś nasi ideolo zajmują się wyłącznie paplaniem za kimś i to bez jakiegokolwiek wzbogacania tych poglądów tworam własnego umysłu, że nie wspomnę już o procesie weryfikowania idei w zetknięciu z rzeczywistością. Propagatorzy straganiarskiego liberalizmu (do niedawna z mlekiem pod nosem), te, wraz z reklamiarzami, cheerleaderki ponadnarodowego korporacyjnego globalizmu, strojne (nomen omen!) w liberie³ poglądów swych wolnorynkowych idoli i współczesnych mocodawców, to, podobnie jak tamci, współcześni jeźdźcy apokalipsy, dzieci globalistycznego systemu edukacyjnego, którego kośćcem jest

deifikacja myślenia technologiczno-ekonomicznego – rzekomego jedynego lekarstwa na wszelkie bolączki świata. Jednym słowem, pełnią nasi ideolo służbę u ołtarzy swoich „mistrzów rynku”, zajmują się uprawianiem ekonomicznej „scholastyki”, w czym pomocna jest im ich bezrefleksyjna wiara (i wizja mamon, naturalnie). Na dodatek wiele ich wypowiedzi, tekstów, komentarzy i stanowisk przypomina jako żywo prosty, jasny i poukładany świat wyłaniający się z bolszewickiego „krótkiego kursu WKP(b)” czy też niedysiejszego PZPRowskiego Podręcznika lektora. O Marksowskim determinizmie ekonomicznym prześwitującym zza ich propagandy nie wspomnę. To po prostu żałosne. Na dodatek taki homo oeconomicus z natury rzeczy jest relatywistą dzięki nieustającemu obcowaniu ze zmiennymi wartościami rynkowymi. Ale to nie wszystko; rynkowy liberał to równocześnie programowy konformista o wielkich zdolnościach przystosowawczych do przeważających aktualnie hierarchii wartości. Jego bierność mysłowa to wręcz ideał programu edukacyjnego PRLu!

¹⁾ Słownik Arcta: liberia – ubranie służby w pańskich domach; nosić liberię to być zależnym, trzymać czyjąś stronę.

Marksieści uważali, że przyszłość będzie wypełniona wzmożoną walką klas; historyczni, klasyczni liberałowie – że postępem rozumu. Guzik z pętelką; jedni i drudzy mogli sobie tylko pomarzyć o swoich postępach. Co, jak co, ale postęp rozumu en masse akurat nie nastąpił, co zresztą nie jest niespodzianką, zaś jedno jest pewne: dzisiejszy liberalizm wzmacnia skutecznie atrofię rozumu. Komunizm/socjalizm chciał wspólnotę („postępowego”, nietradycyjnego typu) narzucić siłą, liberalizm zaś zniszczył tę tradycyjną, zakorzenioną metafizycznie wspólnotę (pytanie: czy bezpowrotnie?) propagując pobłażający sobie indywidualizm i stosowanie autonomicznych miar w etyce; tak więc w miejsce autentycznej wspólnoty pojawiły się nowe: wspólnota korporacyjna, „wspólnota” konsumentów. Obie, wcześniej wymienione formacje społeczno-polityczne łączy zresztą wspólny mianownik, prometeizm o konstruktywistycznym charakterze wyrażający się w przekonaniu, że wielowiekowej tradycji odebrać należy wszelkie znaczenie i stworzyć nowe społeczeństwo skupione już nie wokół sacrum, króla, kapłana i nadrzędnych wartości etycznych, a po zwycięstwie orientacji rynkowej, już tylko wokół bożka przemysłu: złotego cielca, i jego ołtarzy – straganów; ewentualnie wokół śmietnika w przypadku, gdy komuś zarabiającemu 500 zł miesięcznie w wolnorynkowym hipermarkecie nie uda się, mimo najlepszych chęci, zakumulować kapitału. I niechże wówczas nasz ideolo się wykaże; niech pomoże zakumulować ten jego „kapitał”! Jednym słowem, oba systemy, marksizm i straganiarski liberalizm, łączy fałszywa teoria i wizja człowieka oraz społeczeństwa, i równie fałszywa ideologia emancypacji; jedni i drudzy są zresztą promotorami i mecenasami nierzeczywistości, czegoś w rodzaju Świata według Kiepskich...

Perorują nasi ideolo oczywiście nie z pozycji znawcy przedmiotu, o tyle wytrawnego i godnego zaufania, bo dysponującego szeroką perspektywą zawierającą także wiedzę o skutkach społecznych głoszonej przez siebie ideologii, lecz

ze stanowiska pospolitego i fanatycznego jej wyznawcy ferującego „swe” sądy z pozycji jedynie słusznego punktu widzenia, jak przystało na sekciarzy zresztą, którzy, jak wiemy, ogląd rzeczywistości mają z reguły mocno ograniczony do wąskiego jej wycinka. Wąska specjalizacja nie rozwija całego człowieka, a tylko jego część. Czyż taki człowiek nie jest przypadkiem niekompletny, ograniczony, a nawet, by tak rzec, zdeformowany (niczym dzisiejszy świat – jego dzieło)? Ta wąska specjalizacja, to zresztą jeden z trujących owoców rewolucji demoliberalnej skutkującej degradacją bogactwa horyzontów, atrofią walorów duchowych, dehumanizacją. Stąd mają nasi ideolo tylko na ustach jak nie zysk, procent, kapitał, punkt procentowy, hossę, kredyt, stopę, indeks, boom, rentowność, to korzyści skali, zasadę korzyści komperatywnych na zmianę z prostą przebitką itd. I prawią o tym wszystkim z uporem maniaka, niczym dawni marksieści o złu wartości dodanej. Są to kolejne „magiczne słowa”, za pomocą których nasz ideolo, niczym dawny marksista, „zaklina” rzeczywistość. Zajmując się tylko niewielką częścią rzeczywistości, jaką jest produkcja, marketing oraz przepływ środków finansowych, i uważając ją za „cały świat”, nie ma nasz ideolo pojęcia o tym, że rzeczy widzialne nie wyczerpują rzeczywistości! Zamiast ubolewać nad rzeczywistym stanem świata, jest nim zachwycony! Inne wartości, oprócz wyżej wymienionych, w świecie wolnorynkowego liberała (świecie nazwanym przez Guénona „królestwem ilości”) nie istnieją; ergo – nie ma żadnego powodu, aby był on ich wyznawcą i medium. W „odmitologizowanym”, „odczarowanym”, zsekularyzowanym prawie doszczętnie świecie (efekt wysiłków luminarzy Oświecenia, piewców i obrońców „praw człowieka” i „wolności”, lewackich i innych postępowych „emancypatorów ludzkości”, do których grona w tej mierze przystąpili ochoczo liberałowie) wierzenia i hierarchie wartości nie odnoszą się już nawet po części do sfery metafizycznej, a całkowicie do materialnej, pozbawionej „obciążeń” etycznych. Na tym ma się według nich zasadać ów „niezaprzeczalny postęp”, w którego dobroczynne skutki wierzyły, i o który walczyły całe pokolenia naiwnych lub/i uprzednio indoktrynowanych ludzi, a także ich dzisiejszych akolitów. Ta świadomość „postępu”, jaki ponoć nastąpił, a także bezgraniczna wiara w zapewnienia globalnego systemu o niczym nieograniczonej „wolności”, która – w odróżnieniu od klasycznej prawdy – pełniej każdego „wyzwoli” i na dodatek jeszcze „ubogaci”, mają zapewne za zadanie osłodzić sporej części społeczeństw chwile żmudnego grzebania w śmietnikach liberalnego świata, tego świata, który według naszych „postępowców” otwiera przed ludźmi ocean możliwości jak żaden inny świat. A państwo nie będzie przecież obywatelom pomagać i wskazywać, w którym śmietniku mają się z korzyścią dla siebie zanurzyć; to do nich należy dziś wolny wybór! Oby tylko śmietnik był równie „wolny”, niczym okalający go rynek!

Gdyby nasz ideolo, wyznawca „religii straganu”, strojący się w eschatologiczne szaty „kapłana ludzkości”, paplający za innymi w zgodnym chórze podobnych sobie, zaczął myśleć samodzielnie (na początek sprawdzając zgodność rzeczy ze „swymi” pewnikami i przekonaniem), gdyby podjął trud

namysłu nad pełnym spektrum rzeczywistości, a nie tylko nad jej częścią, gdyby wzorem prawdziwych filozofów zamiast pielęgnowania egotycznego samozadowolenia zaczął odkrywać Absolut i kontemplować Byt, jednym słowem, gdyby zaczął prawdziwie filozofować, zamiast jako pospolity filodoks żywić, co najwyżej, różne mniemania (doxa), i dalej: gdyby odkrył nieznane mu dziedzictwo klasyczne, zamiast zachwycać się chwilą doraźną i przemijającymi konwencjami materialistycznymi, to doszedłby w końcu do zbawiennego wniosku, że rzeczywistości nie da się zamknąć w hipermarkecie, banku, czy na giełdzie, że obok jego modnych, a sezonowych ideologii polityczno-ekonomicznych są jeszcze w tym życiu inne sprawy, i to cenniejsze i ważniejsze od epifanii pieniądza i kalkulacyjnego sposobu życia, ważniejsze niż pustka duchowa modelowo „zagłuszana” obfitością materialną lub/i chaosem doznań zmysłowych, że są jeszcze imperatywy moralne, samowiedza, walory duchowe, sacrum, transcendencja, metafizyka, miłość mądrości, wspólnota kultury i wartości, konsensus komunikacyjny, twórczy dialog z przeszłością, aksjologia generująca pytania o sens, celowość i skutki ludzkiej działalności, że istnieją wartości takie, jak szczęście, mądrość życiowa, dobroć, solidarność międzyludzka, bezprzymiotnikowa sprawiedliwość. Dla niekłamanej jakości życia „te rzeczy” są niewątpliwie bardziej ważne, niż walka i współzawodnictwo w domenie materii. Polecałbym więc naszemu sekciarzowi na dobry początek medytację nad Platonską metaforą jaskini w miejsce kontemplacji notowań najbliższej giełdy i okadzania ołtarza wartości dodanej. Jednocześnie ostrzega się tu potencjalnego adepta namysłu nad pełnią rzeczywistości, że naraża on siebie i efekty owego namysłu na zajęcie raczej marginesowego miejsca na obszarze dzisiejszej „kultury”, a nawet na banicję z jej terytorium pod naciskiem ekonomolatrii i technosfery, które starają się zastąpić prawdziwą, tradycyjną kulturę ekonomiczną gorączką i biznesowym, aspołecznym blichtrzem. Coś mi się jednak widzi, iż osobnik taki, spowity dokumentnie w ideę głoszącą, że czas to pieniądz, nie znajdzie ani czasu, ani – jak woli – pieniędzy na powyższe zbożne, edukujące go humanistycznie doświadczenie... A szkoda, bowiem życie nie jest tak proste jak sklepowa lada...

Trudno nie ostrzegać ludzi przed głosicielami tej równie dziarskiej, co fałszywej „ewangelii”, na którą składa się tyle egzystencjalny hurra- optymizm, co moralna impotencja, i równie często cynizm, co egotyczna bezmyślność, bowiem to oni liberalną i demoliberalną koncepcję państwa przemycają pod sztandarem prawicowej (niczym neokonserwatyści), to oni na arbitra w dziedzinie moralności powołują Ayn Rand (Alice Rosenbaum, 1905 – 1982), nie zauważając, że źródła jej filozofii to nietzscheanizm i darwinizm społeczny czystej wody, a która to, która do rangi naczelnej zasady moralnej swej swoiście pojętej „etyki absolutnej” podniosła „cnotę egoizmu” (czego nie sposób nie odczytać inaczej, jako próby usankcjonowania prawa do egoizmu, a to obce jest kulturze łańciskiej). To dla nich jedyną świętością, jaką znają, jest własność. To oni rozkrzewiają ów hedonistyczny mit głoszący, że im więcej skonsumujesz, tym bardziej będziesz szczęśliwy,

co jest naturalnie wierutną bzdurą, a jednocześnie kłamstwem godnym samego Lucyfera, bo mit to chwytny i wyznawany przez wielu: od nieokrzesanego prostaka począwszy, po uniwersyteckiego profesora (nie ukrywajmy, często również prostaka, tyle, że z tzw. awansu społecznego – demoliberalne przyczyny upadku edukacji humanistycznej uniwersytetów to zresztą osobny temat). Efekt oddania się owej pokusie bezmyślnej konsumpcji w „neutralnym moralnie” otoczeniu? Tylko jeden: „szczęśliwe zbydlęcenie” w więzieniu megakonformizmu, w którym okrzykana przez demoliberałów „wolność” sprowadza się jedynie do peregrynacji pomiędzy straganami ustawionymi przez obsługę tego „szczęśliwego więzienia”. Peregrynacji, dodajmy, oczywiście najzupełniej „swobodnej”, czyli pod hałaśliwym dyktatem kolonizującej współczesne umysły reklamy i marketingu... Nawiasem mówiąc, napastliwość reklam nie miałyby miejsca (a samo istnienie przemysłu reklamowego stanęłoby pod znakiem zapytania), gdyby w grę wchodziła prawda (np. na temat jakości towaru!), a nie tricki reklamiarzy, godne poziomu etycznego gry w „trzy karty”. Wystarczyłoby, bowiem, dać zwykłe ogłoszenie, a nie starać się podważać zdrowy rozsądek (pranie mózgu) u potencjalnego klienta za pomocą ukazywania na ekranie telewizora trójpokoleniowych rodzin stających się coraz bardziej szczęśliwymi w miarę spożywania jakiejś tam zupki w proszku. Reklama (autentyczne!): Zupa w proszku pod choinkę! Dla kogo? Dla ekscentryka, czy kłoszarda? A może dla kogoś gardzącego tradycją? Ale ad rem; nie reklama powinna być więc dźwignią handlu, a jakość towaru. To byłoby po prostu uczciwie.

Reklama jest rezultatem i tworem ekspansji gospodarki przemysłowej. Ten zatruty owoc dostarcza biznesowi środków, które umożliwiają mu homogenizację społeczeństwa (gust, upodobania, potrzeby, pomysłuńek, zachowania itd.). Dzięki zastosowaniu wyrafinowanych technik, reklamie, służące liberalnej konsumpcyjnej ideologii, udało się unicestwić tradycyjne wartości kładące nacisk na skromność, umiarkowanie, niezależność, samowystarczalność; dzięki niej wybujała konsumpcja i zbytek stały się „wartościami” społeczną, zamiast dotychczasowej wartości – oszczędności wynikającej z rozsądku! Oto dzieło reklamiarzy; natężenie ich działalności przyjęło dziś rozmiary wręcz apokaliptyczne – reklama, na którą przecież nikt pozostający przy zdrowych zmysłach nie czeka, jest już dosłownie wszędzie.

Krańcowy, doktrynerski liberalizm (pojmowany jako emancypacyjna ideologia podkreślająca uprawnienia człowieka – milcząca natomiast na temat jego obowiązków – a przede wszystkim ideologia uważana przez liberałów za lekarstwo na zagrożenia ze strony tzw. państwa światopoglądowego czy organicznego) ma zadatki na kompletną anarchię; i to miałyby być owa słynna ewolucja mądrości? Przecież to zmasowany atak na rozum! Gdzie niby jest owo miejsce umożliwiające poważny dyskurs, gdzie miejsce choćby na ścieranie się różnorodnych racji i kryteriów etycznych – w domu handlowym, w tancbudzie, w ogłupiającej, komercyjnej telewizji, może

w świecie programowo kłamliwej reklamy? Tradycyjna lojalność, prawda powszechna, wiara w uniwersalny sens, ludzka solidarność w obliczu wspólnych celów moralnych, wspólny porządek reguł – wszystko to stało się wstydlivym przeżytkiem. Czyż nie wygodniej jest uznać, a tak czynią liberałowie, że istnieją różne prawdy i normy, które są nie tylko względne, ale i równouprawnione (ergo można kierować się nimi dowolnie, mając za nic wartość jakiegokolwiek ich autentycznej hierarchii!)? Powyższe jest oczywiście receptą na społeczną dezintegrację, na filozoficzną i intelektualną degrengoladę człowieka i obywatela (sama zaś recepta jest jednocześnie produktem tychże, a więc znakiem choroby, a nie zdrowia, jak chcieliby to widzieć dogmatycznie nastawieni liberałowie).

Dobra pozaekonomiczne, jak wiemy, nie budzą zainteresowania naszych wolnorynkowców; nie znajdują oni za grosz sensu w bezinteresownym poznawaniu prawdy (dla niej samej), czy refleksji na tyle głębokiej, że niezależnej od „nieuchronności rynkowych” i sprzyjającej im aktualnie polityki gospodarczej państw. Nie widzą też oni sensu w konieczności sublimacji swoich pragnień lub jakichkolwiek samoograniczeń i tym podobnych „bzdur” w rodzaju mającej baczenie na bliźniego rzetelności, i dalej: umiarkowania, wielkoduszności, szczodrości, pokory i uczciwości (w dobre reklamy?), no bo co mieliby z tego mieć? Jedyna uznana wartość, to wyłącznie wartość materialna, a struktura społeczna to dla nich jedynie hierarchia produkcyjna. Ta przypadłość umysłowa jest szczególnie widoczna, gdy nasz ideolo zabiera głos na temat kultury (wysokiej) i jej ochrony przed zalewem szmiry i barbarzyństwa lub/i ewentualnego jej dotowania. Okazuje się wówczas, że tradycyjnie pojmowana kultura jest dla wolnorynkowca niczym innym, jak tylko ostatnią przeszkodą na drodze do osiągnięcia pełnej wymienności towarów i niczym więcej. Ciekawe, że nie ma on podobnych „wątpliwości”, gdy idzie o sport. „Chleba i igrzysk” (oczywiście tylko i wyłącznie, nieprawdaz, wolnorynkowy panie demoliberalne?). W każdym bądź razie nasz ideolo daje nam do zrozumienia, że kultura go nie dotyczy zaś jej problemy, a nawet samo jej istnienie zupełnie go nie obchodzi. Ergo: może jej nawet nie być; wystarczą mu jej rynkowe ersatze. To prawda, że jak świat światem, istotne i prawdziwe potrzeby kulturalne przejawiają przede wszystkim elity (naturalnie w tradycyjnym rozumieniu tego słowa), a nie plebs, który nawet jak dorwie się do pieniędzy, to czy wyda je na coś mądrego? „No, ale czy musi?” – zapyta liberał. „Mógłby chociaż taką ewentualność rozważyć” – odpowie tradycjonalista. Jak dotąd, co znamienne, nie spotkałem jeszcze piewcy ideologicznego straganiarskiego liberalizmu, który byłby dogłębnie zainteresowany problematyką kultury i sztuki (ich istotą i znaczeniem dla jakości życia człowieka, w tym i obywatelskiego), którego dodatkowo łączyłyby z tymi dziedzinami – obok ewentualnej ich konsumpcji, względnie zarobku wynikającego z rynkowego pośrednictwa – jakieś bardziej osobiste związki (np. prawdziwa twórczość, a nie owe materializacje nicości zwane instalacjami!). Niestety, jest on z reguły mocno „impregnowany” na tę sferę życia (co, naturalnie, nie przeszkadza mu w zabieraniu głosu na jej temat, jak i w podejmowaniu decyzji przynoszących niebagatelne, zgub-

ne na ogół skutki społeczne, gdy piastuje on stanowisko, wydawałoby się, że odpowiedzialne, np. szefa TV (opowiadającego bajki o tym, jak to nie ma pieniędzy na prowadzenie przez jego firmę tzw. misji – jeśli czegoś nie ma, to przede wszystkim potrzeby i chęci!).

Doktrynalny liberał to budowniczy ruin. Nie jest on świadom (co zawdzięcza przede wszystkim mizernej głębi swego prywatnego sumienia), że ludzki świat ogarnia – wynikające z lansowanego przez niego nieokiełznanego indywidualizmu, pozbawionego aspektów teleologicznych, i to mimo rosnącego nawet tu i ówdzie PKB – poczucie wyobcowania i bezradności, zazdrość o dobra materialne, neurotyczny lęk przed śmiercią (lecz nie przed zbrodniczym zadawaniem jej innym), a przede wszystkim dręczące poczucie nudy i pustki wynikające z jednolitości i „bezcelowości” świata ufundowanego nam przez liberalną cywilizację, wspartej na myśleniu technologiczno-ekonomicznym, paradygmacie zabawowym i naczelnej potrzebie – materialnym zysku. W takim świecie nie ma miejsca na głębszą od rachunku ekonomicznego refleksję, na wartości moralne, etyczne, duchowe; to od nich nastąpiło liberalne „wyzwolenie”! Wolnorynkowym piewcom należy więc nieustannie przypominać, że podstawą i zwornikiem cywilizacji łacińskiej nie jest egocentryczny, samolubny indywidualizm, „cnota egoizmu” pani Rand, ani tzw. prawa człowieka czy zwichrowana demokracja (dziś obracająca się w mechanizm selekcji negatywnej i w efekcie w ochlokrację – rządy motłochu), ani też mityczny „wolny” rynek czy sterujący dziś kulturą rozwój technologiczny. Jej istotą jest personalistyczna wspólnota metafizyczna, wspólnota teleologiczna ludzi gromadzących się na swój sposób wokół sacrum (transcendencja), wartości etycznych i mądrości tradycji, co zawsze skutecznie wpływało na obyczaje i prawa stojące na straży monogamicznej rodziny oraz na wychowanie służące wspólnemu dobru społeczności. Bezosobowa technologia, ów dzisiejszy motor kulturowy, jako zasadnicza część światowego systemu, umożliwia i reguluje bezosobowe stosunki pomiędzy ludźmi wykazującymi się relatywizmem wszelakiego typu i „permissywną” ślepotą na istotne wartości kulturowe (których „nie da się” sprzedać w hipermarkecie), no chyba, że są to „wartości” odpowiadające, podobnie jak „prawa człowieka”, abstrakcyjnemu pojęciu „człowieka w ogóle”, a więc pozbawionego narodowej, kulturowej i religijnej tożsamości. Ten stan rzeczy staje się światową normą cywilizacyjną (niektórzy określają go mianem „sojuszu giełdy i burdelu”; myślę, że ze wszech miar słusznie). Niechże więc zideologizowani straganiarze zastanowią się – o ile to oczywiście w ich wypadku możliwe – jakiej to „cywilizacji” są zwolennikami, a którą skutecznie burzą. Jakże naturalna jest dla nich trudność z dokooptowaniem do rezerwuaru swoich wartości (wiemy, że mają tylko jedną – ilość) istotnej wartości – jakości, i to nie tylko w odniesieniu do towaru, ale i do życia wspartego o klasyczne pojmowanie prawdy, dobra i piękna! Wszystko może być dziś przedmiotem „wymiany handlowej” i negocjacji (łącznie z wartościami moralnymi) – powie z dumą liberał widzący w tradycji, przede wszystkim zinstytucjonalizowanej, wręcz narzędzie represji. Oddajmy mu sprawiedliwość: istotnie, aktualny swobodny byt „wolnego” rynku i relatywizmu (rynek sprzecznych idei i hierarchii wartości) bez powszechnie głoszonego dziś, wyznawanego

i praktykowanego stadnie hedonizmu i konsumeryzmu byłyby poważnie zagrożony.

Najważniejsza dla liberała jest abstrakcyjnie pojęta wolność (z zastrzeżeniem, aby jej „używanie” nie szkodziło drugiemu człowiekowi, a więc w granicach prawa – dopowie on ewentualnie – mając oczywiście na myśli nie tyle prawo, co pozytywizm prawniczy przy którym majstrują dziś nieprzerwanie dzisiejsi faryzeusze i sofiści! Całe to towarzystwo ma za nic prawo zwyczajowe, bowiem jest ono częścią tradycji i rdzennej kultury, a te domeny liberalna ideologia, którą interesuje wyłącznie „postęp”, również ma za nic). Trudno się naturalnie z obwarowaniem wolności nie zgodzić, lecz kiedy przejdziemy do wolnościowych konkretów, to wyznawca „religii wolnego rynku”, niczym biblijny Kain, nagle nie wie, kto jest jego bliźnim, nie wie dlaczego miałby być czasem jego stróżem, nagle nie wie, co to jest zło, zaś normy etyczne i moralne okazują się znieścacka relatywne, pojęcia nagle tracą ostrość, niedocieczona staje się hierarchia tego, co społecznie dozwolone i niedozwolone, co jest godziwe, a co wręcz przeciwnie. Bo niby kto miałby o tym wszystkim decydować i po co? – zachnie się liberał. I koniec dyskusji. Wygląda więc na to, że etykę i moralność wolnorynkowców uzależnia najwidoczniej od skoków kursów na giełdzie i ideologicznie pojętego subiektywizmu. Więc czemuż to miałby piętnować, przykładowo, kulturę masową, skoro widzi w niej możliwość niezłych dochodów własnych? Mniejsza o spustoszenia, które ona – ufundowana na ekonomizmie – czyni, nieprawdaż? I kto by miał się tym przejmować – dorzuci co najwyżej wolnorynkowiec – przecież najważniejszym lekarstwem na wszystko jest oczywiście rynek! I gadaj niczym z głuchym i ślepy... Dla niego liczy się tylko jedno: zdolność nabywca „obywateli”; nie to, co mają oni w głowie (i jak się z tego powodu zachowują), a to, ile mają w kieszeni; zdaniem wolnorynkowca, ludzie powinni znać przede wszystkim ceny, a nie wartości! Indywidualistyczna jednostka będąca jedynym sędzią swych poczynań – tak; etyczna osoba – nie. Ład środków – tak; ład celów (głównie pozaekonomicznych, społecznych) – nie. Na tak „uzbrojonym” gruncie wolnorynkowiec chce dysponować nieokiełznaną przedsiębiorczością i siłą (ale bez etycznej mądrości, ponieważ wyznaje zasadę godną byle prostaka lub jego alotropowej odmiany, prawniczego pozytywisty, że to, co nie jest zakazane, jest dozwolone!), chce pędzić szybko (ale bez duchowego światła) w kierunku zysku! Więc pies trącał kulturę i sztukę, poważną, formującą prospołecznie humanistyczną edukację (a więc nie tę, która aktualnie taśmowo produkuje homoidów z dyplomami), kultywowanie tradycji, solidną oświatę, dobrą opiekę lekarską, czystość środowiska naturalnego itd.; wszystko to wydaje się być dla niego o tyle ważne, o ile można będzie na tym sownie zarobić. Naturalnie bez względu na świadczony poziom, bo przecież „klient może wybrać co innego i kogo innego”. Ach, te ideologiczne złudzenia! Gdzież ów klient ma dokonywać owych mitycznych wyborów wspartych na leseferystycznym dogmacie? Przecież wszystko jest już ujednolicone niczym „program” stacji radiowych i telewizyjnych! Gdzież to się podziała owa różnorodność, mająca ponoć wynikać z wolności rynku i z niczym nieograniczonej

swobody jednostek, tak zachwalana i hołubiona (jako naczelną ideą) przez naszych ideologów? Przecież mamy do czynienia z kompletną homogenizacją wszystkiego – towarów, ubiorów, muzyki i sztuki, języka, zachowań, mentalności i postaw w skali światowej. I jest to, niestety, równanie w dół. Są to także owoce tyranii większości zapatrzonyj w egalitaryzm, oto despotyczne samospętanie demosu ideami liberalnymi (demosu stającego się z dnia na dzień coraz bardziej zdeorientowanym i bezradnym stadem nie odróżniającym zła od dobra, prawdy od fałszu, poruszającego się ruchami Browna w świecie, w którym jedynymi drogowskazami egzystencjalnymi są już tylko bilbordy). Owa namiastka wolności, jak i wszystko inne, jest także przedmiotem nieustającej „obróbki” za pomocą ulubionych narzędzi liberała: zmiennych konwencji (zamiast stałych ideałów i pewności moralnej), kompromisu (ze złem!), negocjacji oraz racjonalnego ponoć dyskursu, którego celem jest zawsze podporządkowanie dosłownie wszystkiego tzw. prawom ekonomii traktowanym w taki sposób, jakby istniała kosmologiczna wręcz konieczność ich istnienia w takiej, a nie innej formie, jakby były one niezienne, jakby nie były ludzkim tworem i nie podlegały ludzkim decyzjom. Tak oto wygląda ów raj na Ziemi z zapalem budowany metodami ekonomicznymi, gospodarczymi, nie zaś, jak być powinno, także za pomocą metanoi serca, ducha i sumienia. Zapatrzony w swe idee krótkowzroczny liberał, pielęgnujący środki a nie istotne cele, wyznający z gruntu redukcjonistyczną filozofię, po prostu lekceważy rzeczywistość i w ten sposób ją zafałszowuje.

W swych ekonomicznych kalkulacjach nie bierze liberał pod uwagę ważnego kapitału – kapitału społecznego, którym jest ludzka solidarność skupiona wokół oczywistych wartości (tradycyjnych i sprawdzonych), które uważa się za godne szacunku i pielęgnowania w życiu społecznym ze względu na wynikające zeń dobro. Wrażliwość społeczna, altruizm, solidarność moralna, wartości bezwarunkowe, pojęcie godności człowieka, to przeżytki godne idealistycznych frajerów – powie liberał – najważniejsze żeby zarobić, nachapać się za wszelką cenę. Także rozsądku, aż prosi się żeby dodać. „A co? – powiedziałby wówczas liberał – Raz się żyje; po nas może być i potop. Nie jestem, i nie zamierzam być z nikim solidarny, zbyt bardzo cenię sobie własny indywidualizm. A już na pewno nie będę solidarny z ludźmi o niskim statusie społecznym, z biednymi. Są oni zresztą biedni na własne życzenie”. To ostatnie, to oczywiście kolejny znany „aksjomat” luzujący sumienie liberała. Jedyne, nad czym mógłby on ubolewać, mając naturalnie na myśli urynkowanie świata, to to, że rynek jest ciągle za mały. Cóż z tego, że następuje regres cywilizacji, dramatyczny upadek kultury, których istotą do tej pory była ludzka wspólnota wsparta na tradycyjnych wartościach umiaru, samoograniczenia, oszczędności, solidności, jakości, solidarności, samopoświęcenia, a także poczuciu wspólnego losu. Cóż, z taką wspólnotą interesu się nie robi; ona nie „kupi” blichtru i rynkowych ersatzów! Toteż nie opłaca się liberałowi walczyć o więzi społeczne, choćby najbardziej elementarne. To nie jego interes. Wręcz przeciwnie, w jego interesie jest owe więzi, przede wszystkim tradycyjne, niszczyć w imię „postępu”. Według ideologii liberała-straganiarza „prawdziwe”

więzi mają się pojawić automatycznie – naturalnie wyłącznie jako owoc wolnych, indywidualnych inicjatyw rynkowych! A najlepszy rodzaj więzi powstaje ponoć pomiędzy osobami stojącymi po obu stronach lady sklepowej... Dzisiejsze głoszące „wolność” moralne subkultury ze swoimi „alternatywnymi wyborami” i subiektywizmem moralnym mają złożyć się na żywą, wartościową tkankę prawdziwej autentycznej i uniwersalistycznej kultury! Na razie składają się na atomizację społeczną i degenerację kultury (a więc samego życia!), i na to, co Christopher Lasch nazywa „kulturą narcyzmu”. I wątpię, aby kiedykolwiek złożyły się na co innego, gdy mało kto już rozumie, że godność człowieka zależy od jego poziomu moralnego, a nie od „praw człowieka”, „wolnego rynku” i innych „postępowych” idei.

Kapitałowi i jego zbrojnemu ramieniu – kulturze masowej – udaje się w dużym stopniu przejąć władzę nad życiem człowieka i obywatela. Kiedy zaś rynek dominuje nad demokracją, koniec nie tylko z nią, ale i z wszelką etyką.

jącego w przyszłość. Dziś, pozbawieni racjonalnych zabezpieczeń wywodzących się z krytycznych funkcji rozumu, kierując się wyłącznie emocjami bezrefleksyjnego stada (zwanych ideologicznie indywidualnymi preferencjami), możemy być wydani na pastwę krańcowej samodestrukcji. Ale kto by się tym przejmował, kiedy dobrze trzymają się akcje i dzień i noc trwa huczna zabawa! Swego czasu jeden z wojujących islamistów powiedział: „Zwycięzimy was dzięki waszej demokracji”. Czy kogoś myślącego racjonalnie wypowiedź ta może dziwić? I czy ktoś myślący racjonalnie dopuściłby, również instytucjonalnie, do zaniku instynktu samozachowawczego na tak masową skalę?

Czy wolnorynkowy zideologizowany liberał gotów byłby podjąć dialog z krytykami jego ideologii, a przede wszystkim krytykami jej skutków wcale nie ubocznych? – spyta ktoś może. Ależ oczywiście! Z tym, że wówczas – co wynika z dotychczasowych obserwacji – nasz ideolo postawi rynkowe warunki: dialog tak, ale wyłącznie o charakterze negocjacyjnym i na kanwie bezwarunkowego relatywizmu we wszystkim

Spójrzmy prawdzie w oczy: prosperita korporacji możliwa jest dzięki wsparciom prawnym i finansowym poszczególnych rządów, na czele których stoją ludzie zahipnotyzowani wolnorynkowymi mitami, wierzący w rzekomą nieuchronność procesu globalizacji. A łatwiej robi się interesy, gdy hipnotyzer zostaje uprzywilejowany. Poniższy przykład wskazuje na to, że o żadnym „wolnym rynku” nie ma mowy, a globalizacja, jak każda rzekoma „rynkowa nieuchronność” jest wynikiem najzwyczajniejszych decyzji ludzi (poddanych bezkrytycznemu owczemu pędowi faworyzowania światowych monopolii), a nie owocem jakiegokolwiek „nieuchronnej ewolucji”, nie jest też wcale „przeznaczeniem ludzkości”, ani wynikiem „obiektywnych praw rynku”! Niegdyś rząd Filipin dał w amerykańskim magazynie „Fortune” ogłoszenie tej oto treści (a bardziej wiernopoddańczego anon-su wobec zagranicznych podmiotów gospodarczych trudno sobie wyobrazić):

Aby przyciągnąć takie spółki, jak Twoja, zrównaliśmy z ziemią góry i dżunglę, osusziliśmy bagna, koryta rzek zostały przesunięte, przeniesiliśmy miasta (...) A wszystko po to, aby Twoja firma łatwiej mogła robić interesy właśnie u nas.¹⁾

Łatwo się domyślić, że owe prace wykonano na koszt miejscowego społeczeństwa, a środki finansowe dla realizacji tej gigantomanii „znaleziono” w najprostszy sposób: ograniczając wydatki sektora publicznego (opieka zdrowotna, opieka społeczna, oświata, kultura itd.). Jakież to piękny prezent z twoich podatków, czytelniku, dla światowych rekinów handlu – oczywiście wszystko to dla twojego dobra! Nadchodźcie więc korporacje, rząd wybuduje wam za pieniądze podatników całą infrastrukturę: autostrady i drogi (na czym skorzysta także lobby paliwowe – żegnajcie odnawialne źródła energii!), transport kolejami dalekobieżnymi (dziwnie jakoś mniej zainteresowanymi komunikacją lokalną), lotniska, porty, telefonię, satelity telekomunikacyjne i telewizję (24 h/dobę bombardującą potencjalnych klientów korporacyjnymi reklamami wzniciającymi psychiczną żądzę konsumpcji); a wszystko to naturalnie pod sztandarem „postępu”, „rozwoju”, „zbliżenia ludzi”, a przede wszystkim „wolności”, tej najwyższej z wartości „moralnych” wolnorynkowego liberała; obok „cnoty egoizmu”, naturalnie...

¹⁾ Reuters (serwis), Occidental offers to meet with Indians, 26.4.1997.

Panuje wówczas wyłącznie wola i etyka kramarza: pozbyć się „sprytnie” towaru. U jego boku stoi przecież rozwinięty do niebotycznych rozmiarów i stymulujący konsumpcję sektor reklamy podzielający tę „filozofię” pozbawioną ideologicznie jakiegokolwiek głębszej refleksji moralnej i etycznej, bowiem mamona na ogół znakomicie usypia sumienie i rozum. Na razie panuje więc demokracja zachcianek (gdy brak silnej woli poddanej intelektowi), demokracja nieodpowiedzialności (gdy brak szacunku dla kultury i prawa). W istocie mamy do czynienia z postdemokracją lansującą mentalne rozmamłanie w pokupnym opakowaniu. Ten rodzaj kalekier demokracji dryfuje w kierunku pełniejszej już dehumanizacji człowieka i jego środowiska, promuje też „po drodze” kompletne zdziennienie, by tak rzec, disneylandyzację świata dorosłych, aby w końcu zupełnie pozbawić ich instynktu samozachowawczego wybiega-

(bo, na boga rynku – złotego cielca, interes musi się kręcić). A co do rzeczonoego dyskursu, to nie ma sprawy; nie ma to jak nagadać się ile wlezie po najprzeróżniejszych sympozjach, kongresach i innych niasiadówkach, i nie dojść do żadnej konkluzji, żadnych praktycznych wniosków i wiążących ustaleń. Wiążących?! W świecie zawarowanej ideologicznie niczym nieograniczonej wolności?! Cóż, mógłby się nasz ideolo zgodzić choćby z tym, że światy indywidualizmu i solidaryzmu społecznego powinny zostać zrównoważone, podobnie jak wolność i porządek, ale on zaraz zapyta „a po co?”, bo w końcu żaden to dla niego interes... Ale coż wart jest świat pozbawiony prawdziwych elit, nieklamanych autorytetów i moralnego kośćca, świat, w którym biletem wstępu na polityczne salony i do innych kręgów decyzyjnych stała się jedynie mamona albo jej widmo? Czy świat polityki musi stawać

się coraz bardziej bezradny wobec dyktatu „wolnego” rynku, wobec rosnącej przemocy ekonomicznej ponadnarodowych gigantów finansowych niszczących lokalne gospodarki, a tym samym ludzkie życie? Niestety, tak to jest, gdy dla dóbr kieszeni, władzy i użycia, człowiek pozbywa się głowy, która wraz z sercem była do tej pory nośnikiem aksjologicznej perspektywy oraz świadomości istnienia innych dóbr, niż wyłącznie te, które „zżera rdza, mól i złodziej”... Niestety, z liberalizmem jest podobnie jak z socjalizmem. Ideologiczny liberalizm to zresztą socjalizm a rebours; tyle, że pozbawiony oczywiście nie tylko tzw. centralizmu demokratycznego, ale, niestety, w ogóle jakiegokolwiek racjonalnego i ponadjednostkowego centrum pojmowanego jako źródło moralnej pewności co do istnienia transcendentnego wobec woli człowieka porządku czy prawa naturalnego wspólnego obejmujących ludzkie sumienie, rozum i wolę – tym centrum jest dziś według liberała każda jednostka. O liberalizmie też można usłyszeć z ust ideolo, że służy on do naprawiania szkód (wiemy, wiemy: „wolny rynek” receptą na wszystko), które – tu dokończmy za niego – nie powstałyby gdyby nie liberalizm (kłania się praktyka, rzeczywistość). Cóż, dziś, gdy homo faber założył spółkę z homo ludens – naturalnie z ograniczoną lub żadną odpowiedzialnością, „musiał” pozbyć się ze spółki tradycyjnego homo sapiens. Teraz, zachęteni przez panią Rand i jej podobnych, będą ochoczo powiewać sztandarem wolnorynkowego materializmu, ateizmu i amoralności, a jako ludzie „naturalni”, dynamiczni i „postępowi”, czyli tacy, których ekspresja będzie niepodległa jakiegokolwiek klasycznej formie, tudzież rozsądkowi i generalnie dobremu smakowi, bardzo szybko osiągną niezbędną

poziom ignorancji etycznej i kulturowej umożliwiającą im sprawne funkcjonowanie rynkowe. Tylko ku czyjemu dobru, panie „komperatysto”, czy może ku dobru wspólnemu?

Krótkowzroczność, chciwość i „namolność” kultury komercyjnej nie przeszkadza tylko temu, kto sam przejawia te nie najlepsze cechy, a ponieważ nie należą one do cnót w klasycznym ich rozumieniu, więc bardzo łatwo upowszechniły się wśród „ludu” i umożliwiły rozprzestrzenianie się wolnorynkowej „ewangelii”, to nic, że złożonej w większości z mitów i przesądów, którym kłam zadaje rzeczywistość. Instytucjonalizacja masowości i jej efekt – instytucjonalizacja bezmyślności – skutkują prymatem „natury” i materii nad kulturą i transcendencją, wzmacnianiem kolektywnej amnezji.

Świat nie stał się globalną wioską zapowiadaną przez MacLuhana; to miasto się rozrosło niszcząc to, co wiejskie, konkretne, naturalne, autentyczne, realne, tradycyjne. Świat stał się globalnym miastem z wszystkimi tego upiornymi konsekwencjami. To nie świat został uprzemysłowiony – uprzemysłowieni zostali ludzie! Zaś koszty owego postępu – jak słusznie zauważa Dávila w jednym ze swych aforyzmów – można obliczać w głupcach... I tylko tacy mogą skazać ludzkość na moralną i duchową degrengoladę, widząc w tym „postęp”, „wyzwolenie” i „dobro” człowieka.

Eugeniusz Obarski
multiwersytet@wp.pl

Gadki z Chatki

pismo tradycja
folkowe muzyka świata
i okolic

Jedyne w Polsce pismo o współczesnych
inspiracjach folklorem i muzyką ludową:
**muzyka, muzycy,
wydarzenia, poglądy,
wywiady, recenzje,
zapowiedzi...**

Dostępne w EMPIK-ach i punktach Kolportera

Adres redakcji:

Gadki z Chatki

ACK UMCS „Chatka Żaka”

20-031 Lublin, ul. Radziszewskiego 16

tel./fax (0-81) 53-332-01 w.114

e-mail: gadki@orion.umcs.lublin.pl

www.gadki.lublin.pl